

– Więc chyba była potrzeba, żeby doświadczona niewiasta asystowała podczas porodu? Tym bardziej pierwszego! To jest wskazane na wypadek mogących się pojawić komplikacji, a ty nie posiadasz żadnych doświadczeń w tym względzie.

– Powiedziałaś już.

– Co?

– Nie potrzebowałam.

– A nie pomyślałaś o problemach z dzieckiem?

– Nie zastanawiałam się.

– To niedobrze. Nie znam nikogo, kto nie rozmyślałby nad tym. A nie bałaś się, że tobie stanie się coś nieprzewidzianego, z czym nie zdołasz się uporać?

– Nie bałam się.

– Taka jesteś odważna czy głupia?

– Nie byłam i nie jestem głupia.

– Czyny przeczą twoim tezom, dlatego to ty znajdujesz się w tej sądowej komnacie, a nie inna kobieta. Dziecko, które powiłaś, urodziło się żywe?

– Nie.

– Skąd ta pewność?

– Urodziło się martwe.

– Pytam, skąd ta pewność, że nie urodziło się żywe?

– Bo było martwe.

– Dzieci czasem nie mogą złapać oddechu, nie płaczą, ale to nie oznacza, że już są martwe. Stąd w trakcie porodu potrzeba obecności osoby doświadczonej, która wie, jakie kroki w takim przypadku przedsięwziąć.

– Dziecko było martwe – wyznała po raz kolejny z naciskiem Elżunia.

– Pytałem cię, skąd wiedziałaś, że dziecko urodziło się martwe? Nie jesteś akuszerką, a tym bardziej stateczną

białogłową znającą się na wszelkich zawiłościach związanych z kobiecym porodem. Jesteś tylko młodą wieśniaczką.

- Dziecko było martwe. Moja matka urodziła kilkoro dzieci i wiem, jak wygląda dziecko żywe, a jak wygląda dziecko martwe.

- Twierdzisz zatem, że nie oddychało, kiedy je urodziłaś?

- Tak.

- Jesteś tego pewna jak tego, że ty sama jeszcze oddychasz?

- Tak.

- Sprawdziłaś jego oddech?

- Tak.

- I nie oddychało?

- Nie.

- W którym momencie?

- Od początku nie oddychało.

- Pytam, w którym momencie sprawdziłaś, że ono nie oddychało.

- Kiedy wzięłam je w ręce.

- Gdyby była przy tobie pomocna niewiasta, pewnie umiałyby zaradzić i dziecko mogłoby złapać oddech.

- Nie mogłaby pomóc.

- Tego nie wiesz.

- Wiem.

- Skąd?

- Urodziło się martwe. Nikt nie dałby rady pomóc.

- Jeśli to był, jak twierdzisz, twój pierwszy poród, to skąd wiesz, czy nie uczyniłaś czegoś, co poskutkowało nieoczekiwaną śmiercią twego dziecka?

- Wiem.

- Tego nie można wiedzieć.

- Jestem przekonana.

- O czym?
- Że nie uczyniłam niczego, o co mnie oskarżacie.
- Nikt nie jest całkowicie nieomylny. A tym bardziej niepiśmienna prostaczka, którą jesteś.
- Ja jestem.
- Śmiesz uważać się za nieomylną? Bóg jest jedynie bezbłądny.

Elżbieta milczała, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. Zastanawiała się nad dalszym tokiem przesłuchiwania jej przez wójta.

Potrzebowała chwili, by poukładać sobie w głowie dalszą treść odpowiedzi na przeciągające się, ale jednocześnie powtarzające się w kółko namolne pytania sędziego. Stale padały takie same, ale zadawane pod różnym kątem, aby zmylić jej czujność. Ale wyjaśnienia dziewczyny były niezmiennie i też się powtarzały.

- Skąd możesz wiedzieć, że w sposób niezawiniony, a więc przypadkiem, nie doprowadziłaś do śmierci noworodka?

- Wiem, że nie zabiłam tego dziecka.
- Dlaczego mówisz „tego dziecka”?
- Nie wiem.
- To ja ci powiem. Żadna matka nie mówiłaby o swoim zmarłym dzieciątku „to dziecko”, gdyby tak było, jak mówisz, że dziecko urodziło się już martwe.
- Nie wiem, co każda matka mówi, jeśli widzi martwe dziecko.
- Czy twoja matka nie urodziła kiedyś martwego dziecka?
- Raz się zdarzyło.
- Czy wtedy mówiła „to dziecko”?
- Nie pamiętam. To nie był czas, żeby zapamiętywać wypowiedane słowa.

- Za młoda jesteś, dziewczko, żeby pamięć tak często cię zawodziła. Skoro odkryłaś, że dziecko urodziło się martwe, dlaczego nie zgłosiłaś tego?

- Nie wiedziałam, że mam komukolwiek zgłaszać.

- Nie przestraszyłaś się, gdy dotarło do ciebie, że masz na rękach nieżywe malutkie dziecię?

- Nie.

- Jak to?

- Ono już nie żyło, więc czemu miałabym się bać?

- Nie wiem, to ty mi powiedz.

- Nie boję się trupów - odparła bez najmniejszych emocji dziewczyna.

- Ach tak? Trupów? - westchnął sędzia.

Ławnicy zawtórowali mu z przejęciem. Byli oburzeni jej rozbestwieniem i brakiem pokory.

- Tak, trupów.

- Co z nim zrobiłaś?

- Zakopałam.

- Gdzie?

- Poza murami miasta.

- W którym miejscu?

- Nie pamiętam.

- Więc nie umiałabyś wskazać strażnikom położenia?

- Nie.

- Nie pamiętasz? Twoje dziecko umarło, zakopałaś je gdzieś poza miastem i nie potrafisz powiedzieć, w jakim miejscu dokładnie?

- Już mówiłam. Nie pamiętam.

- A może nie było wcale tak, jak nam tu usiłujesz wmówić?

- Powiedziałam, jak było.

- My uważamy, że zabiłaś noworodka i wrzuciłaś go do dziury rynsztokowej.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– To ja zadaję pytania, a ty na nie odpowiadasz! – huknął sędzia.

– Nie zabiłam żadnego noworodka.

– Skoro nie zabiłaś, jak nam wielokrotnie już wyznawałaś, to sprawdzimy, czy mówisz prawdę. – Radoliński sięgnął po kolejną butelczynę.

Teraz z kolei Czesław przybliżył się do stołu, przy którym ławnicy na spółkę z wójtem nie przestawali pić, i rzekł:

– Panie sędzio, proszę o wyrażenie zgody na przeprowadzenie badania przez kata co do podejrzanej Elżbiety z Turwi. Podszędna w dalszym ciągu odmawia składania rzetelnych wyjaśnień i nie chce wyjawić nam prawdy, którą trzyma w sobie do utraty tchu, tak zacięcie jak czort duszę przekłętą przez Boga więdźmy.

– Panie instygatorze, zgodę moją już masz. W protokole została ona w dniu wczorajszym odnotowana po zgodnym ustaleniu, iż zachodzą właściwe indicia po temu, by podejrzaną poddać badaniu po uprzednim obejrzeniu jej przez białogłowę. Skoro Weronika dopełniła swego zadania, przyszedł czas na badanie.

Elżbieta momentalnie zeszywniała. Jak gdyby złośliwy duch pochwycił ją znienacka za gardło i trzymał co sił. Rozpaczliwie roztrząsała, że to wszak niemożliwe, by naprawdę mieli zamiar ją torturować. To nie może się zdarzyć. Wykluczone!

Patrzyła wystraszonymi oczyma na kata i jego powolne ruchy. Marcin nie śpieszył się i czekał na ostateczną decyzję składu sędziowskiego. Poprawił tylko gruby, kręcony, długi sznur na ławie, przy której sterczeli na baczność hycle. Ceklarz sprawdził stopień nagrzania blach w palenisku i inne żelazne przyrządy, których wymyślnych funkcji

dziewczyna nie byłaby w stanie zapomnieć. Jego spokój i opanowane ruchy wprawiały podsądną w popłoch.

– Kacie! – odezwał się sędzia do Marcina. – Rozpocznij przygotowania podejrzanej do pierwszej tortury. A ty, pisarzu, zapisuj konsekwentnie, jak rzeczy się mają.

Marcin złapał trzęsącą się z nerwów dziewczynę za kajdany i przyciągnął ją do łąwy. Hycle z miejsca poczęli zdzierać z niej kożuszek i brudne koszule. Czuli, że dziewczyna śmierdzi wydaliniami. Przyzwyczajeni byli jednak do odoru więzionych i skazywanych na śmierć. W trymiga położyli ją na ławie umieszczonej na stałe przy palenisku i czekali na dalsze zalecenia Marcina. Elżbieta poczuła tym razem prawdziwą panikę.

Emocje targające nią od przybycia do więzienia to przybierały niepoślednio na sile, to znów zmniejszały się. Strach panoszył się w niej jak uzurpujący sobie tron władca, to znów ulatniał się jak mleczna mgiełka wiosenna. Drwiła ze wszystkiego wokół, ukazując swą wrodzoną butę i zادیorność, to znów potulniała na myśl o ewentualności poniesienia kary za zbrodnię, której się dopuściła, a której nie żałowała. Różnorodne doznania, które jej towarzyszyły, to podtrzymywały ją na duchu, to znów sprawiały, iż czuła się przygaszona i niezdolna do zmierzenia się z twardą rzeczywistością.

Była kobietą odważną, a jednocześnie czuła się zagubiona i wystraszona, choć nieustannie wierzyła, iż uda jej się uciec spod karzącej ręki sprawiedliwości i w porę uwolni się ze szponów mary noszącej piętno śmierci, której tchnienie niezauważalnie już ją musnęło. Powiewu tego jeszcze nie zdołała odczuć, mimo iż był tuż-tuż.

Kat przykazał Bartłomiejowi i trzeciemu z hycli, niskiemu Szczepanowi, powiązać dokładnie ręce i nogi podejrzanej, żeby nie mogła sama poruszyć się, a tym bardziej nieoczekiwanie oswobodzić z pęt, którymi ją uwiążą.

Szczepan chwycił ręce dziewczyny i sprawnie wyciągnął do tyłu, po czym uwiązał je szczelnie sznurem. Bartłomiej w międzyczasie złączył nogi Elżbiety i uwiązał liną, którą dołączył do przyczepionego do drugiego końca łąwy tambura. Elżbieta na razie nie czuła najmniejszego bólu i miała nadzieję, że tak to pozostanie nadal. Będzie leżała związana, aż w końcu pozwolą jej zejść z łąwy.

– Elżbieto z Turwi, czy przyznajesz się do zabicia swojego dziecka? Mów prawdę! – rzekł sędzia.

– Nie – odparła podsądna, trwając uparcie przy swojej wersji.

W tym momencie Czesław Stolanowski odezwał się do Marcina:

– Mistrzu sprawiedliwości, wykonuj swoje prawo na podejrzanej.

Olszewski zapytał jednostajnie miarowym tonem:

– Czy waszą wolą jest, wielmożni panowie, abym zastosował prawo na podejrzanej? Czy nie jest to waszą wolą?

Ławnicy, sędzia i oskarżyciel kiwnęli bez zastrzeżeń głowami. Pisarz gorliwie odnotował ich decyzję. Dla Marcina oznaczało to bezwarunkowe wyrażenie zgody na przeprowadzenie czynności katowskich. W tej samej chwili szybko, jak z bicia strzelił, kat zakręcił tamburem w lewą stronę, zawijając błyskawicznie sznur na nogach Elżbiety, i rozciągnął jej ciało. Dziewczyna wrzasnęła. Teraz odczuła nieznanym dotąd straszliwy ból wyciąganych rąk i nóg.

– Elżbieto z Turwi, czy przyznajesz się do zabicia swojego dziecka? – ponowił pytanie wójt.

– Neeeeee!!! – skowyczała Elżunia. – Matulu, ratuj, ratuj mnie!...

– Kacie, ciągnij – ryknął instygator, usiłując przekrzyczeć Elżbietę. – Ciągnij mocno! Siły ci brakło?! Mocniej!

Kat, chcąc zasłużyć na pochwały całego sądu, zdecydowanie ostrzej niż za pierwszym razem zakręcił tamburem w lewą stronę, naprężając podejrzaną ponad miarę.

Kobieta ryczała w niebogłosy.

– Bła... gam... nie... nie...!!!

Nikt nie zwracał na to uwagi.

Sąd zajęty był obserwowaniem pracy kata i wsłuchiwaniem się, czy podejrzana pomiędzy łapaniem oddechu a krzykami przyznaje się do winy. Jej ciało niemalże uniosło się nad ławą, wyprostowane jak naciągnięta do granic możliwości lina. Hycle poprawili wiązania przy nogach i rękach dziewczyny, ponieważ odnieśli wrażenie, jakoby liny nieznacznie się obluźowały, przez co tortura wyciągania nie spełniłaby prawidłowo swej zamierzonej roli.

Kiedy kat przestał kręcić, wójt zadał podsądnej to samo pytanie.

– Elżbieto z Turwi, czy przyznajesz się do zabicia dziecka, które urodziłaś?

– Nie... – wymamrotała z trudem. – Błagam... już wystarczy.

Sędzia rozlał sobie i ławnikom resztki gorzałki. Podnosząc do ust swój kufelek, z przyjemnością obserwował scenę tortury. Każdy z nich lubował się co niemiara w najbardziej drastycznym etapie procesu. Elżbieta miała zakrytą dolną część ciała spódnicą, która podsunęła się wyżej. Dwaj pomocnicy, którzy uwiązali kobietę na łożu sprawiedliwości, Szczepan i Bartłomiej, spostrzegli w przerwie tortury wpływającą spomiędzy jej nóg żółtawą ciecz. Elżbieta nie czuła tego. Płakała w głoś. Hycle roześmiali się.

– Józek, widzisz? Widzisz? – rozbawieni pokazywali sobie palcami, jak dziewczyna posikała się z bólu.

Miała chwilkę odpoczynku, zanim Marcin po raz kolejny przystąpił do swojej pracy.

– Kacie, zaczynaj! Ciągnij! – polecił mu instygator. – Spraw się, jak należy, bo w przeciwnym wypadku ja się za to zabiorę.

Kat przyłożył się najbardziej do kolejnego razu tortury i zakręcił wałem, aż mu dłonie zadrżały, a tambur głucho zaskrzypiał. Wykręcił linę na tyle krzepko, że naprężone ciało Elżbiety w mig podskoczyło ku górze, rozciągnięte niemożebnie, jakby chcieli je już teraz rozerwać na dwie części. Dziewczyna nie przestawała wrzeszczeć. Ręce chyłkiem wyskoczyły ze stawów. Elżbieta straciła przytomność.

– Kacie, nastaw. Nic nie chce nam dziewczka powiedzieć. Kończymy na dziś. Wrzucicie ją z powrotem do lochu – za wyrokował smętnie wójt i wychylił do końca to, co mu jeszcze pozostało w kubku. Poczuł znużenie. – Coś słabe to rozciąganie dzisiaj. Marcin za mało się popisał. Podsądna za głośno krzyczy, denerwuje mnie to.

– Trzeba jej wsadzić gruszkę w mordę, to nie będzie piszczeć jak tłuczona owca – wyraził swoje zdanie jeden z ławników, bardziej upity Alojzy Jakorczyk.

– Tak, tak, jutro o tym pomyślimy. Alojzy, chodźmy. Dzień pracy zakończony, a pieniądze zarobione – cieszył się drugi z ławników, Wojciech. – W głowie mi się kręci. Muszę mięsa podjeść. Idziemy? Za dużo pijemy.

– Tyle, ile trzeba. Następnym razem nie ciebie zawołam na ławnika, skoro nie umiesz pracować, jak należy – odparł wójt. – Jak tu chcesz siedzieć tak o suchym pysku przez kilka godzin? Głowę masz za słabą. Muszę mieć skład sądu, który przede wszystkim ma łeb mocny, a nie słaby jak ty, Wojciechu. Rozczarowujesz mnie.

Marcin musiał ocucić podejrzaną i nastawić jej ręce, które wyszły ze stawów.

– Rozlej tę wodę z cedra na twarz. Starczy jej odpoczynku. Bierzymy się za kolejną robotę – zwrócił się do Bartłomieja.

Chłopak posłusznie wylał zimną wodę na głowę kobiety. Elżbieta poderwała się impulsywnie, ale opadła z powrotem na ławę. Rąk zupełnie nie czuła, jedynie wszechogarniającą boleść, jakiej nie zaznała nigdy wcześniej. Aż do dnia dzisiejszej tortury. Zrozumiała właśnie teraz, co to jest prawdziwe cierpienie fizyczne. Poród był zaledwie przedśmiankiem przynębiającej krainy, istnego piekła, w którym panuje rozpacz i męka. Wszystkiego tego, czego dziś doświadczyło jej ciało. Jej wcześniejsze zamysły i nadzieje spełzły na niczym. Wszystko, co stawiała za pewnik, obróciło się przeciw niej, skazując ją na nieszczęście przeżywania katorgi. Pewność, że nie zostanie skrzywdzona przez ludzi ją sądzących, okazała się mrzonką. To, czego była pewna najbardziej na świecie, zawiodło ją i już nie wróci. Czyżby to miał być kres jej drogi? Więc taki ma być ten kres?

Marcin przystąpił do nastawiania rąk. Posadził chwiejącą się mocno Elżbietę na stołku. Wykoślawione ręce raptownie umieścił z przodu. Ułożył je na kształt krzyża. Dziewczyna zawodziła, gdyż dolegliwości wzmagaly się za każdym razem, gdy Marcin pociągał jej wykręcone ręce. Olszewski wgniał kolano pomiędzy łopatki dziewczyny i dokładał starań, by skręcone ręce wprowadzić właściwie z powrotem w stawy. Elżbieta jęczała, aż w końcu omdlała z udręczenia. Kiedy Marcin kończył nastawianie, dziewczyna nie miała już świadomości.



Bartłomiej z Józefem wnieśli nieprzytomną kobietę do piwnicy i założyli jej kajdany, odpowiednio na rękę i nogę. Obok niej zostawili większą tym razem pajdę chleba i dzban wody. Skwaśniałe powietrze przesycone odorem szybko wypłoszyło ich z ciemnego lochu. Elżbieta nie wykazywała oznak

życia, co znowu zachęciło przebywające w celi zwierzęta do podejścia do niej. Chleb, który hycle zostawili dla niej na podłodze, momentalnie został przez nie zauważony i włochate gryzonie jednym susem doskoczyły do urwanego bochenka. Tym razem pięć szczurów rozpanoszyło się wokół i wyrywało sobie wzajemnie co większe kawałki, chcąc przeznaczyć dla siebie najokazalsze porcje. Znienacka jeden z nich podniósł nos ku górze, jak gdyby uchwycił inną woń niż unoszący się smród. Elżbiecie pociekła z piersi niewielka ilość mleka. Dwa z nich podeszły do niej i zwiedzone tym odmiennym zapachem zaczęły podgryzać piersi dziewczyny. Pozostałe nadal pożerały porozrzucone okruchy. Po pewnym czasie wszystkie wspięły się na nią i biegając w tę i z powrotem, szukały pod rozchylnym kożuszkim miękkiego zagłębienia, w które mogłyby się wgryźć. Dziewczyna nadal nie reagowała. Gdy największy z nich ugryzł ją silnie w biodro, znienacka ocknęła się.

To był ten sam, który wczorajszej nocy nie chciał odejść od jej łydki i teraz ponownie, gdy znów odkrył dobre miejsce do dalszego gryzienia, nie zamierzał ustępować. Rana na pogryzionej nodze przybladła i nie interesował się już więcej tą częścią ciała uwięzionej. Biodro zdawało się smaczniejszym kąskiem. Wbił swe przednie wystrzępione zęby w jej ciało i począł szarpać skórę. Elżbieta krzyczała i zawodziła. Okropny ból rąk i bezwład po nastawieniu ich przez kata uniemożliwiał dziewczynie swobodne poruszanie kończynami. Strącenie z siebie szczura, który nad wyraz umiejętnie szepił się z biodrem, było dla niej tym razem wysiłkiem nie do przewyciężenia. Poczęła potrząsać swym zmęczonym ciałem, ale gryzoń nie odpuszczał.

Wreszcie zwróciła uwagę, że obok niej znajduje się dzbanek. Pomyślała, że najwidoczniej straż dała jej wodę do picia.

Próbowała uchwycić ucho naczynia, ale ręka, którą do niego z trudem zbliżyła, nie była w stanie uchwycić przedmiotu będącego dla niej ostatnią deską ratunku. Była zanadto obolała i nie mogła niczego udźwignąć. Elżbieta czuła się przegraną w kolejnym starciu z największym szczurem z wszystkich zasiedziały w ratuszowej norze.

Pozostałe osobniki, którym chleb wystarczył na zaspokojenie głodu, przestały szukać odpowiedniej części ciała i zeskakiwały z wierzgającej kobiety. Rozbiegły się z piskiem po kątach. Tam zajęły się szuraniem i skrobaniem po wilgotnych kamieniach tkwiących w ścianach.

– Złaż ze mnie, złaż, obrzydliwy szczurze! – nie przestawała podrygiwać i wołała, jakby co najmniej mógł zrozumieć i z uległością wykonać jej polecenie.

Próbowała się obrócić. Dotąd leżała na boku i dlatego szcur po przegryzieniu spódnicy, co nie stanowiło dla niego większego kłopotu, miał ułatwiony dostęp do jej biodra. Kiedy nareszcie udało jej się przewrócić na plecy, szcur zeskoczył i odbiegł do swoich kompanów. Wiedziała, że niebawem powróci i dalej będzie gryzł jej ciało, za każdym razem mocniej i głębiej. Dziewczyna nieprzerwanie płakała. Ból rąk i nóg był nie do zniesienia. Czuła silne rwanie w mięścach, w których wyłamano je ze stawów.

– Matulu, za co mnie to spotyka, za co?! Nie chciałam niczego złego. Matulu, ratuj mnie, zabierz mnie już stąd. Kto naopowiadał sędziemu, że zatłukłam tego parszywego bachora? Katarzyno... pomóż mi, przyjdź z pomocą. Nie zniosę tego piekielnego bólu. Ach, jak boli, jak bardzo! Już nie dam rady! – krzyczała.

Nie mogła, a nawet i nie chciała się uspokoić. Nieprawdopodobny ból paraliżował jej ciało, obezwładniał umysł. Myśli koncentrowały się na przeszywających boleściach, które

ogarniały jej ciało. Znów poczęła powtarzać, że nie tak miało być, nie tak miało ułożyć się jej życie. Nie tortury i nie szczyry są jej przeznaczeniem. Całe zło wzięło swój początek z pracy, którą podjęła w majątku dziedzica Rusieckiego. Płacz i zawodzenie nie przynosiły spodziewanej ulgi. Głuche echo odbijało się od zimnych ścian więzienia i uchodziło w nicość.

„Skąd oni się dowiedzieli, skąd?! Nikogo tam nie było. Jak to się mogło stać?! – zadręczała się Elżunia, wybuchając płaczem. – Jestem zgubiona... matulu moja, nie wytrzymam tego dłużej” – ubolewała.

Łzy silnie odczuwanej niedoli nie przywołały żadnej z kobiet, które wzywała nadaremnie. Nikt nie zajrzał do ciemnicy, by otrzeć zapłakaną twarz Elżbiety, opatrzyć rany i wybawić z opresji, w którą sama się wpędziła.

III dzień procesu

Marcin zerknął na żelazne pręty grzejące się w palenisku. Wsunął do niego szczypcy, które trzymał w czarnych rękawicach, ponieważ przy pomocy metalowych narzędzi chciał sprawdzić wzrokowo stopień nagrzania blach.

Były szkarłatne. Ich błyszcząca pąsowość oznaczała, że są wystarczająco rozpalone i gotowe do użycia. Hycle wyciągnęli z lochu kobietę i przyprowadzili ją do komnaty, w której miał się rozpocząć trzeci dzień sądu nad podejrzaną o śmierć dziecka Elżbietą.

– Ależ śmierdziuch! Łajnem czuć od ciebie – chlapanął Bartłomiej, trzymając łańcuch uczepony jej łydki.

Szczepan zarzał i powiedział półgębkiem:

– Już wczoraj capiała jak zdechła koza.

Dziewczyna poczuła się zażenowana. Sama, i bez wytykania jej tego przez katowskich uczniów, zdawała sobie sprawę,

jaki smród rozsiewa wokół siebie. Nie był on jednak w tym momencie dla niej istotny. Przestała zwracać uwagę na błahostki. Noc spędziła w katuszach i panice przed dniem dzisiejszym. Nawet głód, który odczuwała, gdzieś znikł. Strach był silniejszy niż pusty żołądek. W pierwszej chwili jej wzrok padł na kata w grubych i długich po łokcie rękawicach, który stał przy ławie i czekał, aż hycle ją do niego doprowadzą. Przeczuwała, że sędzia spróbuje wydobyć z niej zeznania w sposób jeszcze bardziej brutalny niż wczoraj. Marcin, nie bacząc, że ręce dziewczyny są obolałe i wyglądają, jakby zostały doczepione do reszty ciała, zdarł z niej kozuch i koszulę. Elżbieta syczała. Położył ją znów na katowskiej ławie i powiązał jak poprzednio. Sflaczałe ręce podciągnął do góry i okręcił sznurem, osłabione nogi zaś przywiązał do walca. Elżbieta zaczęła płakać ze zdenerwowania. Bała się. Myśl o kolejnych katuszach sprawiała, że nerwowy płacz nasilał się z każdą pełną dramatyzmu chwilą.

Paweł Radoliński i ławnicy siedzieli przy stole z pełnymi już od rana kubkami alkoholu i z nieukrywaną ciekawością obserwowali przygotowania kata do kolejnej tortury. Czesław Stolanowski przeglądał Biblię i, w przeciwieństwie do zastolników, nie wykazywał chorobliwego zainteresowania dręczeniem podsądnej. Gdyby to od niego zależało, dopilnowałby już pierwszego dnia postępowania sądowego skazania młodej kobiety i dziś nie pamiętałby już o egzekucji. Zająłby się pilniejszymi potrzebami w radzie miejskiej.

– Mogę rozpocząć – powiedział Marcin Olszewski spokojnie, jak to miał w zwyczaju.

– Mam nadzieję, że nie daliście teraz podejrzaney nic do jedzenia? – zwrócił się Radoliński z pytaniem do pomocników kata.

- Nie daliśmy, wielmożny wójcie.
- A wczoraj?
- Zgodnie z twoim rozkazem zanieśliśmy jej chleb i wodę i dziś go już nie było, więc zjadła – odparł Szczepan.
- No tak, jak głód przyciśnie, to i samym chlebem można się najeść – stwierdził wójt.
- Okruchy choć zostawiaj dla szczurów, niech sobie podjedzą – wypalił głupio Alojzy do podsądnego.
- Zapanowała cisza. Instygator z wójtem, choć rzadko się zgadzali, skrzywili się. Jedynie Wojciech uśmiechnął się i poklepał kolegę po ramieniu. Pisarz podniósł oczy znad protokołu i przyjrzał się ławnikowi.
- Coś nie tak powiedziałem? – rzucił Jakorczyk do Wolickiego.
- Nie, nie. Ot tak patrzę – wyjaśnił pośpiesznie pisarz.
- To gap się w protokół, nie na mnie – odburknął Alojzy.
- Panowie, nie teraz, później porozmawiacie. Zaczynamy. Czas mija – powiedział instygator do zgromadzonych. – Czy nie mamy tu więcej świec? Wydaje mi się, czy jest za ciemno?
- Są. Najmocniej przepraszam. Zapomniałem nałożyć. Proszę, wybaczcie mi – odpowiedział natychmiast Bartłomiej.
- Zapal i niech ci to w zwyczaj nie wejdzie – odparował Stolanowski.
- Święta racja... Elżbieto z Turwi, czy przyznajesz się do zabicia swojego dziecka? – zapytał sędzia.
- Jestem niewinna – wydukała niepewnie.
- Instygator machnął do Marcina.
- Kacie, zaczynaj, według prawa.
- Marcin obrócił się do paleniska, poprawił rękawice na dłoniach i wziął metalowe szczypce. Ostrożnie przystąpił do wyciągania jednej z rozżarzonych blach, które

pochwycił szczelnie w szczypce. Elżbieta, gdy tylko zobaczyła, co Marcin zamierza, zaczęła zawodzić.

Przestała płakać, a jej ciało zaczęło nerwowo się trząść. Cała drżała jak opętana przez samego diabła. Histeria z całą cyklopową siłą uderzyła jej do głowy i mimowolnie chciała uwolnić się z obwiązujących ją sznurów.

– Trzymajcie ją! – huknął Marcin do pomocników, którzy co tchu doskoczyli do ławy i przytrzymywali wyginającą się na wszystkie strony podejrzaną.

Nie miała najmniejszych szans na uniknięcie męki. Marcin zbliżał się z blachą do stołu, a Elżbieta już wyczuwała zapach rozpalonego metalu. Szarpała się jak zaszczuty lis. Hycle poradzili sobie z nią szybko. Przytrzymali ją tak, by kat miał swobodny dostęp do części jej ciała – od pachy do biodra.

Olszewski wolno przyłożył grubą, rozgrzaną do czerwoności formę do jednego z boków dziewczyny, trochę poniżej pachy. W jednej chwili dał się słyszeć przeciągły ryk Elżbiety. Żyły na jej szyi stały się tak wyraźne i grube, że nieomal wyszły ze skóry. Przerażające darcie katowanej kobiety rozległo się poprzez podziemie ratusza. Czuć było swąd przypiekanego ludzkiego ciała. Marcin bez litości przytrzymywał blachę na ciele dziewczyny, nie zważając na jej wrzaski. Przywykł do swojej roboty. Nie czuł niczego, co mogłoby oderwać go od prawidłowego wykonywania swojej profesji. Patrzył na sędziego, który miał dać mu znak, kiedy zakończyć przypalanie podejrzaney.

– Elżbieto z Turwi, przynajesz się do zabicia swojego nowo narodzonego dziecięcia?! – krzyknął sędzia, wcześniej przechylając kubek z gorzałką. – Pisarzu, zapisujesz?

– Tak, sędzio. Jest, jak przykazałeś – wykrztusił Wolicki. Dziewczyna wyła. Nie słyszała pytania.

– Elżbieto z Turwi, przyznajesz się do zabicia swojego dziecięcia?! – krzyknął wójt raz jeszcze, głośniejszym głosem, by mogła go usłyszeć.

– Niiieeeee!!! – ryczała podejrzana.

Wójt zezwolił katu na zabranie blachy. Marcin odniósł formę na miejsce i szykował się do wyciągania następnej. Chwytał ją szczypcami i szedł do podejrzonej. Hycle przygotowali dla kata drugi bok kobiety. Dziewczyna zapomniała już o bólu wczorajszej tortury wyciągania rąk i nóg. W szale rozpaczy rzucała się na ławie, ale pomocnicy mocno ją przytrzymywali. Marcin przyłożył świeżo prażącą się jeszcze blachę do ciała podejrzonej, przyciskając mocno rozżarzony metal od pachy do biodra. W powietrze buchnęła ta sama woń spalającej się skóry.

Skowyt Elżbiety stał się tak przeszywający, że raził popijających ławników i wójta, nawet mimo tego, że byli do oglądania cierpień więźniów przyzwyczajeni.

– Koniecznie należy założyć gruszkę – wymamrotał Alojzy. – Tak się nie da pracować.

– Elżbieto z Turwi, popełniłaś zbrodnię zabójstwa?! – krzyknął wójt.

– Tak!!! Tak!!! – wrzeszczała.

Kat zsunął blachę z przypalonego boku kobiety. Elżbieta zemdlała. Czuć było z oddali, że cuchnie nie tylko spaleniźną. Wokół momentalnie rozniósł się fetor ekskrementów.

IV dzień procesu

– Panowie, mamy dziś czwarty dzień postępowania sądowego, i, jak się szczęśliwie dzięki Bogu złożyło, możemy już je zakończyć. Dobrnęliśmy do końca wyboistej drogi pełnej kanciastych, ale i zarazem drobnych kamyczków,

które niejednokrotnie uwierały nasze stopy. Łatwo nie było. Podejrzana rzucała nam nieustannie kłody pod nogi. Utrudniała na wszelkie sposoby, byśmy nie byli w stanie udowodnić znanej nam dobrze prawdy. Ja wiedziałem od początku, co w trawie piszczy, ale skoro wy, panowie szacowni, zamierzaliście obradować w zgodzie z waszymi sumieniami i zarazem ogólnie przyjętymi procedurami, trwało to tyle, ile trzeba było poświęcić czasu, aby podejrzana skruszała i wyznała, co ja wiedziałem i czego byłem pewien. Naturalnie, nie uwłaczając wam, panowie. I czemuż to podsądna tak zakłamywała rzeczywistość, by w ostateczności wyznać to, co uczyniła owej strasznej nocy? Nietrudno odpowiedzieć na powyższe pytanie. Jest oczywistym dla każdego myślącego, że chciała być cwańsza od mądrzejszych od siebie. Zamierzała przechytrzyć sąd i wykręcić się sianem. Nie udało jej się wszakże przetrzymać badania naszego kata Marcina Olszewskiego i przyznała się. Tak, szkoda jedynie, że nie od razu to nastąpiło. Ale nie ma co się trapić, prawda wypłynęła jak niejedna pławiona czarownica na wierzch wody.

– Naturalnie, pan instygator dobrze mówi – zabrał głos sędzia. – Przejdziemy wkrótce do ogłoszenia wyroku, a następnie do podania go do publicznej wiadomości. Tego obowiązku dopełni już nasz kat.

Elżbieta podczas przemawiania Stolanowskiego siedziała z oczyma nieruchomo utkwionymi w przeciwległej ścianie, patrzącymi ponad ogień płonący w palenisku. Jej twarz była zszarzała po przeżytej mordędze, z ogromnymi sińcami pod cudownymi oczyma. Bezbarwna i wyzbyta jakichkolwiek uczuć. Jej postać nie wyrażała żadnych emocji. Nikt nie mógł dojrzeć, choćby niezmiernie się starał, że podejrzana ma jeszcze choć niewielkie tkliwe uczucia.

– Odwołuję – rzekła znienacka.

Było to jak grom z jasnego nieba, pojawiło się wbrew jakimkolwiek oczekiwaniom. Zaskoczenie sądu było niebywałe. Nikt ze zgromadzonych nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Sądzono, że dziewczyna nie przeżyje kolejnych tortur i dlatego przyznała się do popełnionej zbrodni.

– Co? – sapnął sędzia. – Nie dosłyszałem, co ty powiedziałaś?

– Odwołuję – powtórzyła wolno.

Do akcji wkroczył oskarżyciel. Wójt był zbyt przejęty, żeby prowadzić rozmowę z podsądną. Dziewczyna zbyt cuchnęła, więc Stolanowski stanął w pewnej odległości od niej i zapytał:

– Co odwołujesz?

– Przyznanie się.

– Dlaczego? – zdumiał się Czesław. – Na postawione ci pytanie, czy popełniłaś zbrodnię zabójstwa, odpowiedziałaś twierdząco. Nareszcie potwierdziłaś swą niezaprzeczalną winę. Wszystko zostało zapisane w protokole sądowym. Tak było, a prawdą jest, że zabiłaś swoje dziecko.

Elżunia zamyśliła się, chcąc najdokładniej przedstawić sądowi swój punkt widzenia.

– Wiem, co wczoraj zrobiłam.

– No więc? – dopytywał się instygator.

– Nie... nie zabiłam. Wczorajsza udręka sprawiła, że przestałam myśleć. Nie chciałam tego powiedzieć, ale pragnęłam, by kat przestał mnie palić. Nie powinnam była tego rzec, ale stało się. Dlatego teraz się przyznaję. Nie zabiłam. Odwołuję wczorajsze wyznanie winy.

– Czy myślisz, dziewczko, że to powstrzyma dalsze tortury? Badania, które za chwilę przeprowadzi nasz zdolny kat, spowodują, że i dziś będziesz tracić rozum. One będą trwać tak długo, aż przyznasz się do winy.